Meandry języka



Florian Śmieja (z prawej) i Jan Miodek (z lewej), fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja

Było to chyba jeszcze w 1935 roku, kiedy wychowawca tłumaczył nam zmiany w nowej ortografii, która miała obowiązywać od 1936 roku i dotyczyć wielu imion, a nawet nazwisk.

Podpisywałem się wtedy Florjan Śmieja. W mig na kartce papieru złożyłem zmieniony, moim zdaniem, według nowych przepisów podpis i byłem rozczarowany, kiedy nauczyciel zgodził się na krótkie „i” w imieniu, ale kazał w nazwisku przywrócić „j”. Może od tego momentu zacząłem dbać o pisownię mojego nazwiska. Kiedy więc kujony i puryści trzymając się ściśle przepisów nowej ortografii pisali w dopełniaczu “Śmiei”, protestowałem najpierw nieśmiało, a potem mocniej. Odtąd mam problemy i mają je inni, którzy skłonni mi iść na rękę.

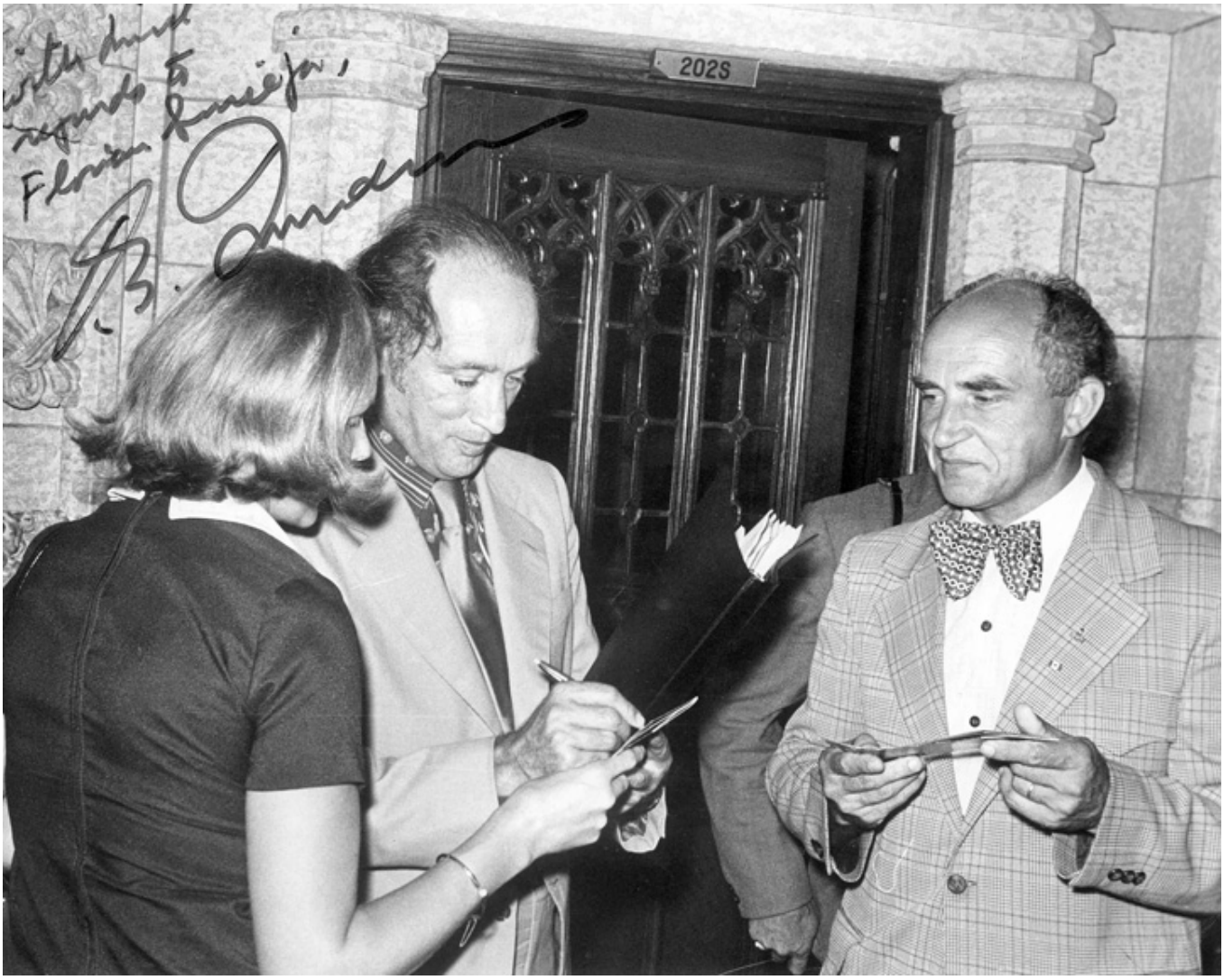
Tymczasem zacząłem krytyczniej patrzeć na odmianę rzeczownika kończącego się na –ja. Nie będąc fanatykiem gramatyki przecież zauważyłem, że nazwiska z końcówką –ja, Zieja, w odmianie zmieniają temat przed dodaniem końcówki przypadku. Tematem nazwiska Zieja jest Ziej, a nie Zie, także Śmiej, a nie Śmie. Dlaczego więc “Śmiei” ma być poprawne?

Przeszedłszy w Kanadzie w 1991 roku na emeryturę zacząłem latać do Polski, aby uczyć hiszpańskiej literatury. Wypraw tych było szesnaście. Pierwsze czteromiesięczne staże miały miejsce we Wrocławiu. Na uniwersytecie poznałem znakomitego językoznawcę profesora Jana Miodka. Okazało się, że skończył to samo gimnazjum, co ja, w Tarnowskich Górach, a być może uczył mnie jeszcze jego ojciec w tzw. Ćwiczeniówce. Zaprosił mnie do programu “Ojczyzna-Polszczyzna”. Zwierzyłem mu się z nękających mnie wątpliwości, co do słuszności niektórych reguł

ortografii. Kazał uzbroić się w cierpliwość i zapowiedział zajęcie się tą sprawą rzeczoznawców. Jest więc nadzieja.

Na razie zadowolić się muszę sporą notą pod hasłem “Śmieja” w “Słowniku Ojczyzny Polszczyzny” Jana Miodka.

Dwie kanadyjskie migawki



Florian Śmieja (z prawej) z premierem Pierrem Trudeau, fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja

Kiedy mnie pytają o Kanadę i znamienne doświadczenia zachodniej demokracji, cytuję przykład premiera Ontario Johna Robartsa, który przysłał mi powitalny list w kilka dni po moim przybyciu do jego okręgu wyborczego. Drugim probierzem było krótkie spotkanie z premierem Kanady Pierrem Trudeau na korytarzu parlamentu w Ottawie. Zaraz po zaciętym pojedynku na sali, potrafił on wyjść do czekających gości, pogwarzyć z nimi

i podpisać autograf.

*

Mój kanadyjski znajomy Richard Newman pisał książkę o Almie Rosé, wybitnej skrzypaczce austriackiej, która zmarła w Auschwitz, będąc tam dyrygentem żeńskiej orkiestry obozowej. Wspomniałem mu o moim przyjacielu, Wojciechu Gniatczyńskim (1924-1985), który był klarnecistą w męskiej orkiestrze tego obozu. Przełożyłem jeden z jego wierszy na angielski i teraz jego słowa powędrowały do pięknej książki *Alma Rosé. Vienna to Ausschwitz*. Ciekaw jestem, czy zachowano je również w przekładzie tej książki na hebrajski?

Książki wywrotowe

czy zbójeckie? Marian Pankowski (1919-2011).



Marian Pankowski podczas uroczystości wręczania nagrody literackiej w kategorii proza, Gdynia 2008 r., fot. wikipedia.

Florian Śmieja

W latach pięćdziesiątych dowiedziałem się z lektury „Kultury” o Pankowskim. Drukował w niej wiersze i recenzje. Na jej łamach w obronie jednego z moich wczesnych wierszy skrzyżował szpadę z Józefem Łobodowskim. Potem czytałem i publikowałem jego prozę w miesięczniku „Kontynenty”, a następnie widywałem jego teksty w kwartalniku Czesława Bednarczyka „Oficyna Poetów i Malarzy”.

Ponieważ mieszkał w Belgii, bywał w Londynie tylko przelotnie. Zapraszał do Brukseli. Spotkanie na jego terenie doszło do skutku dopiero w 1974 roku, kiedy jechaliśmy całą rodziną do Polski i akurat w Belgii starsza córka poczuła w boku ostre kłucie i trzeba było szukać szpitala i zatrzymać się na operację w mieście Louvain. Tam stanęliśmy na campingu, a zostawiwszy córkę w szpitalu z trojgiem pozostałych dzieci pojechaliśmy do Brukseli.

Wydawszy kilka zbiorków liryków, Pankowski, zrezygnował z pisania wierszy publikując nagrodzoną przez „Kulturę” uroczą prozę poetycką „Smagła swoboda”. Doceniła tę prozę Maria Danilewiczowa zwąc ją „odosobnioną, nieporównywalną pozycją”, a także, że to”szczupły rozmiarami, ale imponująco dojrzały tom prozy poetyckiej”.

Prywatnie natomiast wyszła powieść „Matuga idzie” objawiająca jego poważne zainteresowanie, jeśli nie obsesję, erotyką. Danilewiczowa konkludując, że „historycy wrócą kiedyś do Pankowskiego”, przywitała książkę odważnie:

> Ciekawy jest także „Matuga” i to nie ze względu na pornograficzną aurę, ale jako śmiały eksperyment językowy, krok dalej od Gombrowicza, choć w wyznaczonym przez niego kierunku. Na Emigracji docenił go jeden bodaj Bielatowicz…

Wydawnictwa odrzucały tę książkę, a także garść kontrowersyjnych opowiadań. Pisarzowi patronowali wówczas krnąbrny Michel de Ghelderode i Georges Bataille. Sztukę tego pierwszego Pankowski przełożył na język polski i drukował. To on wprowadził polskiego pisarza w świat diabelski, groteskowy, perwersyjny, świat Breugelowski. Obaj autorzy, wyznał Pankowski, przekazali mu

> w formie artystycznej bezwzględną i całkowitą wiedzę o współczesnym człowieku „zdolnym do wszystkiego”.

Wtedy napisał dziesięć sztuk eksperymentalnych i cztery w

języku francuskim. Wybrał własną drogę. Tadeusz Nowakowski zauważył jego „luzakowanie”, niezgodę na chodzenie w jakiejkolwiek obroży: nie chciał „współpląsać w grobowcu…”. Nie bez powodu zajął się twórczością Leśmiana, człowieka, który jego słowami

> wybijał się ze zbiorowości, szukał dla siebie wyjątkowego miejsca, rościł sobie wyjątkowe prawa.

To aluzja do tematu dysertacji doktorskiej Pankowskiego.

Kiedy zaczął drukować w londyńskiej „Oficynie Poetów i Malarzy”, stał się, jak napisał, ”uczestnikiem wielkiej przygody”. Wdzięczność swoją wyraził w pięknym hołdzie zamieszczonym w katalogu z okazji wystaw w Polsce w 1990 roku.

> Niezależnej Oficynie Poetów i Malarzy zawdzięczam druk moich książek wywrotowych, gdyż nie przylegających do tradycyjnego kanonu tekstów odrzuconych uprzednio przez wydawnictwa emigracyjne i krajowe. Oficyna Poetów była wtenczas jedynym domem wydawniczym wolnym od cenzury. Szczycę się tym, że moje prace poświęcone polskiej literaturze współczesnej, że moja proza i teatr są i pozostaną integralną częścią dorobku Polaków na obczyźnie,

> skupionych wokół niezależnego słowa Oficyny.

Willa Pankowskiego, położona w spokojnym zaułku Brukseli, była urocza, gospodarz delikatny i pełen atencji, dystyngowany, bardziej miękki niż wyglądał na fotografii. Osiągnął swoje gody po trudnej młodości, poniewierce, po zawodach i nieszczęściach doczekał się jakiegoś zadowalającego układu ze światem i życiem. Wnętrze domu uznałem za architektonicznie kapitalne, gustownie urządzone, krzesła i fotele były skórzane, meble teakowe, a ściany zdobiły oryginalne obrazy. Żona była w Paryżu, zastaliśmy tylko córkę.

Teatr Pankowskiego zaczął w końcu docierać do widza. Wystawiono jego sztukę w podmiejskim teatrze paryskim, a potem przywieziono ją na kilka dni do Brukseli. W Genewie teatr miejski dał 12 przedstawień innej jego sztuki, „Król Ludwik".

Poezji dał spokój, bo już mu nie wystarczała forma zapisu lirycznego, była zbyt ograniczona, nie potrafiła wyrazić kwestii człowieka, które dojrzały autor dostrzegał i pragnął ubrać w literacki kształt.

Głosił, że pisarz musi sobie wywalczyć czas do pisania. W Brukseli środowe popołudnia poświęcał na włóczenie się po

kawiarniach. Czuł potrzebę samotności. Bo jak inaczej mógł być zarówno pisarzem, profesorem, naukowcem, mężem i ojcem rodziny?

Zapamiętałem w jego domu manekin kobiety, a na gzymsie jednego z pokoi, bodaj salonu, figurkę drwala z piłą. Zachowywał się jak rzeźba kinetyczna, a kiwając się symulował piłowanie kantu. Praktyczni Flamandczycy puszczali go ponoć w ruch, kiedy gość nudził… Miałem się na baczności.

Pankowski marzył o docieraniu do polskiego czytelnika w kraju.

> Każdy pisarz polski żyjący na obczyźnie marzy o wejściu na rynek krajowy. Brama to jednak ciasna i przejście prowadzi przez biuro ministerstwa spraw zagranicznych, a opłata za to szczęście – wygórowana. Są to jednak problemy, które pisarz emigracyjny musi rozpatrywać w świetle własnych, jemu tylko znanych okoliczności.

W 1975 roku pojechał na „Warszawską Jesień Poezji”. Bardzo zadowolony doniósł wtedy:

> Spotkania autorskie były dla mnie wielkim odkryciem! To, o czym myślałem z ironią i obawą, okazało się cenną

> konfrontacją z żywymi czytelnikami.

Od tego czasu datuje się stała jego współpraca z redakcjami, wydawnictwami i teatrami w Polsce. Powstały nowe książki i sztuki. Ich autora dwukrotnie nominowano do nagrody „Nike". Teatry zaczęły wystawiać jego sztuki. Pamiętam, jak we Wrocławiu trafiłem na jego „Chrabąszcze". W 1998 roku otrzymał Honorowe Obywatelstwo rodzinnego miasta Sanoka.

Dokonania Pankowskiego pokazują niewtórną osobowość, głos oryginalny, wybitny sens języka. On sam w rozmowie wyznał, że chce

> Pisać tak, żeby język mych tekstów był rozpoznawalny, żeby nie żółkł razem z kalendarzem, ale został jak żywica.

Po krótkiej więc inkursji we francuszczyznę znalazł swoje forte w drążeniu języka polskiego.

Teksty jego przyjmowano różnie. Tomasz Wolańczyk zauważył, że wywołują one „Niechęć albo podziw, ale najczęściej zamieszanie i trochę strachu…".

Wydawca jego pism Czesław Bednarczyk, rozpoznał w nim

zjawisko w literaturze polskiej wyjątkowe. Napisał otwarcie i jasno:

> Pankowski zajął się głównie marginesem społecznym, który zawsze był, jest i będzie. Blaski, jasność, bohaterstwo, poświęcenie, nawet miłość odsuwa na bok lub świadomie przemilcza. Pokazuje nam brutalną, nagą prawdę. Pożyteczna to, moim zdaniem i wielce ciekawa twórczość i kto wie, czy nie lepiej może wpływać na wychowanie niż tzw. dobro fałszowane? Dla szerokich mas jednak nie jest to sztuka budująca, zrozumiała, krzepiąca. Dla ogółu jest literaturą złą. Świat potrzebuje „narkomanii dobra" mimo, że siedzi po uszy w zgniliźnie. Książki jego nie zabłądzą pod strzechy.

Pankowski bronił swoich wizji jako świadek innej rzeczywistości:

> …z ludzkich ciemności idą na nas wciąż nowe postacie z liściem piołunu na ustach za cały los.

Konstanty A. Jeleński widział w negliżowaniu pisarza przez krytykę emigracyjną i krajową „Zatajony podziemny polski erotyzm, który nie chciał wywlekania wszystkiego na światło

dzienne”. Sam autor „Matugi” napomknął w liście do mnie, że nie chce „narzucać się z tekstem, którego czytanie wymaga pewnego dystansu wobec mieszczańskości w nas i poza nami”. Gdzie indziej wyjaśniał, że będąc wśród Flamandczyków przejął ich plebejską szczerość wobec cielesności.

W londyńskim miesięczniku „Kontynenty” przeprowadziliśmy ongiś panelową dyskusję zatytułowaną „Rozmowa o pornografii, erotyzmie i prozie Pankowskiego”. Zbigniew Grabowski o książce „Matuga idzie” wyraził się nie bez pewnej chyba zazdrości, że „Jest to książka jurna, zawiesista i książeczka poety” konkludując, że „Matuga nie dochodzi… atakuje tabu, ale nie bulwersuje czytelnika, wyczerpuje się w żakowskich trochę figlach i popisach”. Lecz jeżeli Pankowski przegrywa u niego do Witkacego i Joyce’a, to nie ma się czego wstydzić.

„W sztuce jestem za swobodą” – deklarował w jednym ze swych wywiadów. Chce by go broniły teksty same, lecz wyznaje, że istotnie wybiera sobie osobliwych protagonistów swojej prozy i dramatu. Jest nim zazwyczaj człowiek żyjący „na marginesie”, odtrącony, np. starzejący się emigrant, albo ktoś wykolejony, żyjący za granicą pod innym nazwiskiem. Człowiek wyobcowany, „goszysta”, zagubiony we własnych sprzecznościach, skłonny do odruchów anarchicznych. A to wszystko, bowiem, jak zaręczał Marian Pankowski, Professeur Honoraire de l’Université Libre de Bruxelles

> …wyrażając agresywność i aspołeczność takich ludzi, takich postaw, chcę się przekonać, że jestem po stronie równowagi i ładu.

Pankowski zawsze miał ambicje, by udowodnić sobie i innym, że ubogi chłopiec z Sanoka może się dorobić czegoś w świecie. Cudem przeżywszy obozy koncentracyjne, zostawszy profesorem na zagranicznym uniwersytecie, zaspokoił głód uznania. Międzynarodowe sympozjum roztrząsało jego bogaty dorobek. W Polsce zdobywa sobie zwolenników konsekwentnym odkrywaniem obszarów w literaturze polskiej pomijanych, przemilczanych, spychanych na margines. Uczulony na krzywdę i momenty poniżenia, nie zapomina o losie innych, wszak sam siebie również za takiego uważał. Atakowany, bronił się posiadaniem wątpliwości, które go trapiły, dodając przekornie, że gdyby ich nie było, ziemia byłaby nadal płaska. Myślenie inaczej wyzwala, choć wciąż płaci się za nie wysoką cenę. W Warszawie jakiś czas temu otwarto muzeum erotyki. Coraz więcej książek Pankowskiego ukazywało się w Polsce, autor jeździł i udzielał wywiadów, w google'u mnożyły się reklamy. Ale jeżeli pisarz miał swobodę, by szokować, ośmieszać i kpić z bogoojczyźnianych ekscesów i religianctwa niskiego lotu, to czytelnik pozostał nadal raczej oszołomiony i nieufny. Nie przystaje pochopnie na zmienianie oblicza polskiej kultury. Także ceni sobie swoje wątpliwości i może nie podzielać jego smaku i

preferencji.

_____

Marian Pankowski na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/marian-pankowski-1919-2011/

Wzlot z Zabrza



Jan Sawka, fot. profil Jana Sawki na facebooku

Florian Śmieja

Choć na Górnym Śląsku brzydkich miast nie brakuje, Zabrze bezsprzecznie kwalifikuje się do najbrzydszych. Po prostu los poskąpił mu urody. Rabunkowa gospodarka nie sprzyjała wzorcowemu planowaniu, podkopy kopalń minowały teren, dymy koksowni zżerały mury, szarość krajobrazu położyła się na twarzach ludzi.

Nie słynęło to miasto z żadnych przymiotów estetycznych, powodów do dumy, choć jego drużyna piłki nożnej przez pewien okres błyszczała na sportowym firmamencie, a niektórzy atleci zasłynęli w świecie. Rozgłosu nabrało Zabrze od czasu wizyty generała de Gaulle'a, który za swoją promocję otrzymał jedną z zabrzańskich ulic. Wśród jego budowli niewiele było takich, które zasługiwały na niepodzielny respekt. Przy jednej z jego głównych arterii sterczy pomnik stachanowca Pstrowskiego.

Wydawałoby się, że krajobraz i klimat sprzysięgły się przeciwko pięknu w każdej postaci. Owszem, zdarzają się wyjątki, choćby ambitne koncerty Krystiana Zimermana, ale chyba stało się dla każdego jasne, że co jak co, ale jako źródło wielkiej inspiracji Zabrze nie zasłynie. Tymczasem bawiący z wizytą w Polsce artysta plastyk **Jan Sawka** niespodziewanie przyznał się do trwałych śląskich korzeni. Zrobiwszy błyskotliwą karierę w Stanach Zjednoczonych zamieszkał potem w Japonii. Urodzony w Zabrzu, aczkolwiek z rodziny przybyłej z Małopolski, przyznał, że wpierw czuł się na Śląsku jak na emigracji, ale potem

> wbrew wszystkiemu pokochałem Śląsk. Wzrastałem wśród ludzi mówiących językiem, którego często nie rozumiałem, ale z czasem te bariery zaczęły się powoli łamać. Zacząłem poznawać Hanysów i nagle staliśmy się paką… Śląsk nauczył mnie jeszcze jednego: rozumienia innych ludzi i innych

> kultur…

Dlatego, powiada Sawka, że gdyby miał wrócić do Polski, nie wyklucza, że właśnie wróci na Śląsk i zamieszka w Zabrzu.

> Ze względu na ludzi. Mówię to zupełnie szczerze.

Tymczasem Sawka zrobił w świecie karierę, przyzwyczaił się do życia w USA, ale po pewnym czasie zaczął mu się nie podobać tamtejszy "nihilism i zupełna negacja kultury". Dlatego przemyśliwał o powrocie do Europy. Wtedy zainteresowali się nim Japończycy i Arabowie. Oni przyjęli jego wizje artystyczne i pilnie mu sekundowali w projektowaniu i budowie pomników w Nagasaki i Jerozolimie oraz wieży światła w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Ta odległa Japonia wcale nie oznacza zerwania łączności z Zabrzem, bo właśnie Japończycy mieli przekształcić starą zabrzańską wieżę ciśnień z początku wieku w nowoczesny ośrodek sztuki.

Zanim artysta planował wrócić, zamierzał w Zabrzu na jednym z placów postawić swoją rzeźbę przedstawiającą wzlatującego w górę chłopca, wyobrażenie ludzkiego marzenia. Marzenia Sawki i nas wszystkich.

> Robię teraz w świecie wielkie realizacje, które mnie wręcz przygniatają swoją duchową i polityczną wagą i w pewnej chwili powiedziałem sobie, przecież ja właśnie w Zabrzu wymarzyłem większość rzeczy, które teraz robię.

Jan Sawka 9 sierpnia 2012 r. w wieku 66 lat zmarł na atak serca w swoim domu, w High Falls w stanie Nowy Jork.

Fenomen „Wiadomości”


Cena 80 groszy

BOY-ŻELEŃSKI: SZKOŁA KRÓLOWYCH

Dziś 6 stron

WIADOMOSCI LITERACKIE

TYGODNIK

Nr. 28 (660) Warszawa, Niedziela 28 czerwca 1936 r. Rok XIII

Florian Śmieja

O znakomitym tygodniku Włodzimierz Odojewski powiedział:

> To ogromnie smutne, że po przełomie w Polsce w 1989 roku nie udało się nikomu stworzyć podobnego pisma – szerokiego informatora o sprawach sztuki, literatury, w ogóle kultury w kraju i na świecie, ukazującego z numeru na numer literacki przekrój przez wszystkie piszące pokolenia, jednocześnie prezentującego różne poglądy. Stać było na to rozproszoną emigrację, nie stać prawie czterdziestomilionowego kraju. Ale może żyjemy na progu już zupełnie innej epoki? Szybkiego zanikania zainteresowań humanistycznych w ogóle?

A wszystko zaczęło się ponoć tak: Antoni Borman wręczył warszawskim pikolakom cały nakład pierwszego numeru „Wiadomości Literackich”, kazał im rozbiec się po Warszawie i sprzedać pismo, zatrzymać sobie połowę pieniędzy, a połowę przynieść wydawcy. Chłopcy w mig rozkolportowali periodyk po stolicy. Ani jeden z nich nie wrócił z pieniędzmi. Jeżeli nawet ta historia nie jest prawdziwa, to doskonale ilustruje dynamikę twórców pisma, które miało istnieć 57 lat i które z 3 tysięcy w roku założenia 1924 osiągnęło 15 tysięcy, kiedy wybuchła wojna.

Pismo założył i redagował w Warszawie, a później w Paryżu i Londynie, nieomal do swojej śmierci w 1970 roku Mieczysław Grydzewski, redaktor magnificus. Zdaniem Antoniego Słonimskiego cechowały go upór, zapał, erudycja, tolerancja i despotyzm. Posiadał on jednak przede wszystkim niezwykły talent edytorski oraz niespożytą pracowitość. Był przez cały czas ukazywania się „Wiadomości" w trzech ich postaciach, ich jednoosobową redakcją, sam czytał rękopisy, sam robił korektę, sam korespondował ze współpracownikami i doglądał druku.

W artykule wstępnym napisał:

> Pismo nasze nie reprezentuje żadnej szkoły estetycznej. Nie walczy o tę czy inną doktrynę. Nie broni i nie chce żadnych dogmatów krępujących swobodę twórczości. Dlatego proklamuje hasło poszanowania i czci dla każdego sposobu i dla każdego objawu uczciwej pracy w imię sztuki. Ale – w myśl stawiania sobie celów ochrony wartości kulturalnych narodu – przyrzeka nieustępliwość i bezwzględność w przełamywaniu wszelkiego rodzaju wstecznictwa, kłamstwa, obłudy, fałszerstwa – społecznego zarówno jak artystycznego.

Od początku więc pismo zamierzało być obiektywne, apolityczne i popierać niekrępowaną twórczość. Stawiało na eklektyczność i

atrakcyjność. Zadanie popularyzacyjno-informacyjne podobało się wielu czytelnikom podobnie jak walka z wstecznictwem i programowy wysoki poziom stylistyczny i językowy. W konsekwencji tak pojmowanego programu odegrało ważną rolę popularyzatorską i dziś stanowi bogatą kronikę życia literackiego Polski międzywojennej.

W pierwszym okresie „Wiadomości" były gazetą literacką dla wszystkich redagowaną przez Grydzewskiego z poparciem całej grupy Skamandra (Lechonia, Słonimskiego, Tuwima, Wierzyńskiego...). Pismo pilnie śledziło rozwój prężniejszych literatur europejskich i dobrze o nich informowało. Miało do tradycji literatury narodowej stosunek pozytywny, zwalczało ekscentryczne nowatorstwo, radykalną prasę prawicy, popierało poezję Skamandrytów i związanych z tą grupą poetów (Broniewskiego, Jastruna, Lieberta...).

Z czasem „Wiadomości Literackie" stały się pismem problemowym. Na miejsce części informacji, korespondencji i wywiadów przynosiły eseje i felietony. Zgromadziły wśród współpracowników grono wybitnych prozaików (Nałkowska, Dąbrowska, Kuncewiczowa, Gojawiczyńska, Iwaszkiewicz, Choromański) oraz krytyków (Zawodziński, Napierski, Breiter). Pisali wybitni fachowcy i profesorowie. Do ulubionych pozycji należały „Kroniki Tygodniowe" Słonimskiego oraz reportaże Pruszyńskiego i Janty-Połczyńskiego. Godna pochwały była

troska o inne dziedziny sztuk i kultury, o teatr, film i muzykę.

Na początku pismo popierało władze, ale potem przeszło do opozycji. Stało się też orędownikiem reformy obyczajów i nie bało się poruszać spraw uchodzących za drażliwe. Będąc zasadniczo pismem poświęconym kulturze, nie uchylało się od zadań społecznych, publikując m.in. reportaż Ireny Krzywickiej z procesu zwolnionego z pracy buchaltera z Żyrardowa, który zastrzelił znienawidzonego przez robotników dyrektora fabryki, Francuza. Jej reportaż alarmował:

> Trzy czwarte Żyrardowa bez pracy. Rozpacz! Ci, co pracują – sterroryzowani, przerażeni, traktowani jak psy, zależni od kaprysu majstra czy szefa, zagrożeni w każdej chwili redukcją. Ludzie po pięćdziesięciu latach pracy wyrzucani na bruk bez odszkodowania, bez emerytury. Milczący, niedostępny dyrektor idzie przez fabrykę, pokazuje palcem, bez słowa, robotnika z siwymi włosach na skroniach, dziewczyną o krzywych nogach, urzędnika, którego twarz mu się nie podoba, już ich nie ma, już znikali, już są skazani na śmierć głodową.

„Wiadomości Literackie” musiały używać techniki przyciągania czytelników, wydawały numery specjalne, dodatki humorystyczne, urządzały plebiscyty i ankiety, ustalały

hierarchie pisarzy, faworyzując swoich współpracowników. Przez lewice atakowane były za współpracę z kołami rządowymi i ugodowość, prawica zarzucała im robotę rewolucyjną, gdyż pismo propagowało pacyfizm, zasady liberalne, patriotyzm bez szowinizmu, etykę świecką i poszanowanie praw jednostki. Nie kończyło się na atakach prasowych i naciskach, głównie na Boya, Słonimskiego i Tuwima, zdarzały się napaści bojówek na pisarzy, wybijano szyby w lokalu redakcji. Mimo pewnego zwrotu w kierunku pisma, ponoć władze nosiły się z myślą by je zlikwidować.

Ataki pisarzy i krytyków (Millera, Czuchnowskiego, Brauna, a zwłaszcza Irzykowskiego) obnażyły profil „Wiadomości Literackich" jako poszukiwanie i zalecania „życia ułatwionego w formie poezji ułatwionej". Zaś zamiast pełnokrwistej i rzetelnej publicystyki wedle antagonistów, pismo przynosiło szkice biograficzno-obyczajowe, ciekawostki z prywatnego życia i plotki. Pisarze skupiający się przy „Wiadomościach Literackich" byli dla innych kliką związaną interesem i tak zapatrzoną w siebie, że ślepą na wielkie talenty działające poza jej podwórkiem. Dlatego m. innymi nie zauważyli ani poezji Czuchnowskiego, ani Leśmiana czy Gałczyńskiego.



Mieczysław Grydzewski z jamnikiem Fugą, 1939 r., fot. Archiwum Emigracji.

Po upadku Polski, Grydzewski znalazł się we Francji i w Paryżu od marca do czerwca 1940 roku ukazywały się „Wiadomości Polskie" – kontynuacja przedwojennych. Z kolei zostały przeniesione do Londynu i wobec niechęci czy wręcz wrogości rządzącego obozu firmowane były przez Zygmunta Nowakowskiego. Powodem była nie tylko domniemana sanacyjność pisma, ale także jego częste protesty przeciwko cenzurze oświatowo-kulturalnej. W miarę narastania konfliktu,

zaostrzonego publikowanymi w „Wiadomościach Polskich” artykułami przeciwnymi układowi ze Stalinem i potępiającymi linie Curzona, władze polskie nie reagowały, gdy Anglicy tłumacząc się brakiem papieru, zlikwidowali niewygodne pisma w 1944 roku. (Pismo często wychodziło z białymi plamami po ingerencji cenzury).

Przez dwa lata pismo nie ukazywało się, by powstać ponownie 7 kwietnia 1946 roku, tym razem jako po prostu „Wiadomości”. Wychodziło regularnie jako tygodnik, na pięknym papierze, suto ozdobione fotografiami i rycinami. Z ciasnego lokalu naprzeciwko *British Museum*, szły numery do rozsianych po całym świecie czytelników. Ja też do lokalu zaglądałem, by pogwarzyć z Bormanem czy Grydzewskim, który najchętniej przenosił się do czytelni *British Museum*, by tam bez przeszkód szperać i robić korektę. W przeddzień wyjazdu do nieznanego mi wtedy nawet z nazwy kanadyjskiego miasta London, poszedłem do administratora spytać, czy i tam mają prenumeratorów pisma, którzy zagwarantują, że nie będę zupełnie odcięty od kontaktów z kulturą polską. Mieli.

Kiedy Grydzewskiego powaliła choroba, zlecił redakcję człowiekowi o gołębim sercu i wielkim takcie Michałowi Chmielowcowi. Niech go reprezentuje w niniejszym szkicu jego kulturalna reakcja na nieprzejednane stanowisko jednego z czołowych pisarzy emigracyjnych, Józefa Mackiewicza.

Pryncypializm i maksymalizm Mackiewicza jest pociągający jako postawa etyczna, ale bardzo ahistoryczny. Jaśniejsze rozdziały w ponurych na ogół dziejach ludzkości wyłaniają się niemal zawsze za sprawą kompromisów, stopniowego ulepszania, poprawiania, drobnych, mozolnych zabiegów, uciążliwej i zygzakowatej ewolucji.

Po śmierci Chmielowca redakcję objęła długoletnia współpracowniczka pisma, Stefania Kossowska, Z kolei umarł świetny administrator Borman, następnie opiekun pisma Sakowski. Na skutek inflacji podskoczyła cena papieru i robocizny. Redaktorka raz po raz apelowała o pomoc, ale nie było jej tyle, by pismo mogło się utrzymać. Na dodatek wygasła dzierżawa lokalu. Zapadła więc gorzka decyzja, by pismo zamknąć w marcu 1981 roku, a ostatnie numery wydać już jako miesięczniki.

Współzawodnictwo między paryską „Kulturą" a londyńskimi „Wiadomościami" istniało od początku. Na łamach wychodzącego w Anglii miesięcznika młodych „Kontynenty" w numerze 23-24 w 1960 roku ukazał się tekst dyskusji na temat tych pism z udziałem Marii Badowicz, Adama Czerniawskiego, Bogdana Czaykowskiego i moim. Wtedy widziałem oba periodyki w ten sposób:

> Z jednej strony mamy miesięcznik o formacie nowoczesnym i cechach książki, z drugiej tygodnik, niewygodną płachtę łamiącą się po kilkakrotnym złożeniu. „Wiadomości” już tylko informują, „Kultura” szerzy ferment umysłowy, stanowi bodziec i przynosi materiały zdolne nas głęboko poruszyć. „Wiadomości” hołdują chwalebnej i powszechnej w naszym wieku tendencji zaspakajania ciekawości kulturalnej, zwężonej przy tym do jej biało-czerwonego odcienia, pracowitej istnej arki Noego dla przyszłego historyka. Natomiast „Kultura” pozbawiona lwiej części tego bagażu kronikarsko-informacyjnego, o formacie nieznoszącym drobnicy, oferuje dobra kulturalne niewtórne, zdolne zapłodnić umysł czytelnika i dostarczyć mu prawdziwego artystycznego przeżycia. Zgodzimy się bez trudu, że literatura i sztuka winny wywierać impakt bezpośredni i trwały. Flirt z nimi stwarza pięknoduchowski nawyk zdolny nas uodpornić na piękno przez mnogość dostarczanych wrażeń czy opisów gotowych bryków. Może paradoksalnie zabrzmi teza, że przez rozstrzelenie zainteresowań i nagromadzenia materiału z peryferii kultury pismo omnibus wyświadcza niedźwiedzią przysługę. Rozdział sztuki i literatury od istotnego, głębokiego nurtu życia dzisiejszego człowieka świadczy o tym dobitnie.

Nieubłagany czas dokonał swego dzieła. Tuwim, Słonimski, Cat-

Mackiewicz i Rostworowski wrócili do Polski i tam zmarli. Na emigracji odeszli Pawlikowska, Lechoń. Wierzyński Janta, Nowakowski i Wittlin. Na placu pozostali nieliczni, najwięcej wśród nich epigonów ze wspomnieniami, workami i tasiemcami gawęd. Owe nazwiska z Polski nie zdołały zmienić zasadniczego tonu. Była to literatura wtórna, niekonieczna i nie wyczekiwana, krótkich spięć nie powodowała, kulturalna, także zabawna, nie drążyła, nie prowokowała do myślenia. Czuło się, że pismo było wehikułem formacji przeżytej, nie chcącej, czy nie potrafiącej brać nowego na serio. Patronowały przemożne cienie Lechonia, Nowakowskiego, a nie Gombrowicza czy Miłosza. Dopalały się ostatki sarmackiej i kontuszowej przeszłości, były próby życia na niby dostrzegające mnóstwo spraw peryferyjnych i błahych, kosztem tego co zasadnicze i ważne. Może o takiej fazie pisma myślał Gombrowicz pisząc „gazetki literackie z ich beztroskim gaworzeniem o literaturze.

Zamykając pismo redaktorka napisała, że

> „Wiadomości” Grydzewskiego były pismem jednego człowieka, jego prywatną własnością i miały specjalny, nadany mu przez niego charakter. Byłoby naturalne, gdyby skończyły się razem z nim.

Dodaje zaraz potem:

> Ale kończy się wszystko stare i przychodzi nowe. Jeśli piękno literackie takie „Wiadomości” jest potrzebne – znajda się tacy, co je założą.

Jako sporadyczny współpracownik „Wiadomości” za ich trojga redaktorów pożegnałem je, mimo zastrzeżeń, z żalem. Dobrze się przysłużyły polskiej kulturze i w jej dziejach pozostaną znaczącym pomnikiem.

O Mieczysławie Grydzewskim i Stefanii Kossowskiej w magazynie „Culture Avenue”:

http://www.cultureave.com/czlowiek-to-styl-mieczyslaw--grydzewski-1894-1970/
http://www.cultureave.com/lwowiak-jan-chmielinski-spod--gor-ksiezycowych-obecny-i-nieobecny-w-polskim-londynie/
http://www.cultureave.com/juz-nie-napisze/

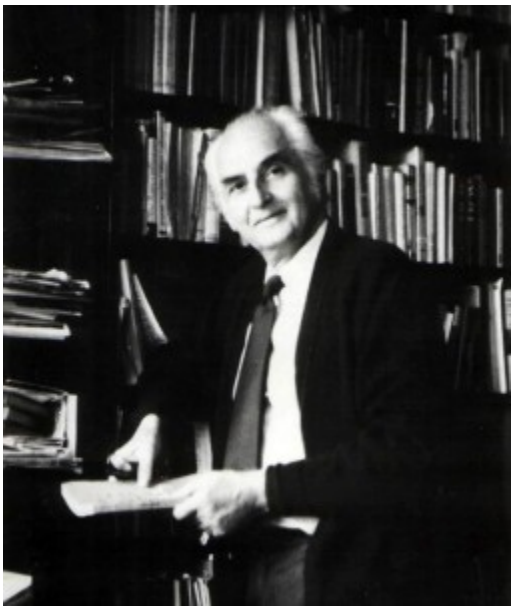
Prof. Florianowi Śmieji, współredaktorowi „Culture Avenue” i niezastąpionemu mentorowi, z okazji 93-rocznicy urodzin, serdeczne życzenia składa

Redakcja



Leopold Pobóg-

Kielanowski (1907-1988).



Leopold Pobóg-Kielanowski, fot. Encyklopedia Teatru Polskiego.

Florian Śmieja

“Ja przed wojną jeździłem na pańskie przedstawienia w Katowicach”, miał powiedzieć Jan Paweł II Leopoldowi Kielanowskiemu.

Ja także jeździłem na te przedstawienia, choć moja motywacja była inna, właściwie nie pamiętam wiele z tych czasów tuż przed

wybuchem wojny. Utkwiła mi w pamięci wycieczka uczniów państwowego Gimnazjum i Liceum im. ks. Jana Opolskiego w Tarnowskich Górach na przedstawienie calderonowskiego "Księcia Niezłomnego" w przekładzie Juliusza Słowackiego granego w teatrze Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach. Wysłuchałem tyrad wygłoszonych pięknym językiem przez portugalskiego infanta, jak się miało okazać, Leopolda Pobóg Kielanowskiego, młodego aktora i reżysera hołdującego idei teatru monumentalnego.

Miałem go później zobaczyć w Anglii, wszak był wieloletnim reżyserem Teatru Polskiego w Londynie i wznawiał udane inscenizacje z Polski. Nie zapomniał o "Księciu Niezłomnym", choć rolę główną grał już ktoś inny.

Tę sztukę obserwowałem już uważniej, gdyż ukończyłem studia iberystyczne. Po latach miałem się zjawić na uniwersytecie wrocławskim jako promotor doktoratu poświęconego tej sztuce.

Zadośćuczyniłem w ten sposób za burszowskie zachowanie w 1938 roku, kiedy wraz z grupą uczniów głośno, dla kawału, gryzłem suchary, by zakłócić patetyczne sceny dramatu.

A z kurtuazji bardziej niż z przekonania posłałem Kielanowskiemu do wglądu mój przekład moralitetu eucharystycznego Calderona "Tajemnice Mszy św".

Na zachodnich rubieżach Słowiańszczyzny



Florian Śmieja w Dreźnie nad Łabą, fot. arch. Z. i F. Śmiejów.

Florian Śmieja

Amerykańskie biuro podróży specjalizujące się w ambitnych wycieczkach dla wychowanków kanadyjskich i amerykańskich uczelni wyższych, ogłosiło kilka lat temu dwutygodniową wyprawę do Czech, Niemiec i Polski. Jedną z atrakcji stanowił spływ luksusowym statkiem holenderskim po Wełtawie i Łabie z Pragi do Tangermünde przez Drezno i Magdeburg. Towarzyszyłem tej wycieczce w charakterze pokładowego instruktora, który m.in. miał obowiązek wygłosić kilka odczytów na temat zwiedzanych ziem.

Uczestnicy rekrutowali się spośród emerytowanych pracowników naukowych, urzędników państwowych i przedstawicieli wolnych zawodów. Byli tam lekarze, prawnicy, posłowie do parlamentu, a nawet minister z Quebecu. Speszyła mnie nieco lista lektury przesłana z centrali: dla Polski ktoś mało zorientowany przepisał książkę o getcie i powieści Jerzego Kosińskiego. Nie musiałem się jednak martwić o parametry moich wykładów, gdyż w sukurs przyszedł mi Philip Ryan, którego broszurę o rzece Łabie, każdemu z nas wręczono przed rejsem. Otóż na samym już początku sympatyczny autor bez owijania w bawełnę określił sytuację na tamtych terenach jako tysiącletnie zmaganie się żywiołu germańskiego ze słowiańskim i zapoczątkowanego właśnie na rzecze Łabie przez Henryka i jego syna Ottona I. Osiemdziesiąt kilka osób załadowało się na statek i po

dwudniowym postoju i zwiedzaniu Pragi ruszyło w dół rzeki, korzystając z licznych na tym odcinku śluz. Niedaleko panującego na wzgórzu barokowego zamku Melnik wpłynęliśmy do Łaby. Stamtąd już było blisko do cudownych krajobrazów Szwajcarii Czeskiej przechodzącej w Saską, wśród wymyślnie rzeźbionych piaskowych skał i pierwszych niemieckich miejscowości turystycznych. Z kolei pojawił się potężny, historyczny zamek Königstein, gdzie August Mocny trzymał alchemika, który miał mu wyprodukować złoto, aż w końcu odkrył jak robić porcelanę. W czasie ostatniej wojny, w zamku więziono głównie oficerów francuskich i przechowywano skarby drezdeńskie. To w tamtejszej okolicy Weber miał znaleźć natchnienie do sceny z burzą i diabłem do opery „Wolny strzelec'", a ja wyobrażałem sobie, że natchnął go górnośląski Pokój, gdzie również przebywał i gdzie komponował.

Mijając różne malownicze osady założone przez Słowian, nadal noszące nazwy świadczące o swoim pochodzeniu, dopłynęliśmy do pałacu w Pillnitz, wzorowanym na chińskim pałacu w Kantonie. Ponoć importowani gondolierzy wozili Augusta Mocnego i jego gości (wśród nich hrabinę Cosel zanim została osadzona w Stolpen) do pobliskiego Drezna, które stało się jednym z najpiękniejszych miast Europy i nazwane zostało Florencją nad Łabą. Dziś również, podźwignąwszy się z barbarzyńskiego bombardowania, imponuje swoimi budowlami, operą i pałacem Zwinger. Liczne kościoły ozdobione złoconymi

koronami świadczą o wielkiej epoce ambitnego elektora, a później króla Polski. To w pobliskim Loschwitz (wszystkie miejscowości, których nazwy mają końcówkę –itz są słowiańskiego pochodzenia objaśniła niemiecka przewodniczka) Schiller napisał swoją „Odę do radości". W przypałacowej katedrze katolickiej odbywało się akurat polskie nabożeństwo (była niedziela) choć tylko garstka ludzi była w świątyni. W Dreźnie znajdziemy wspomnienia po Napoleonie i tam żył uroczy bajarz Karol May, którego przygodowe i podróżnicze książki zauroczyły pokolenia młodzieży, nim słyszała ona o Harrym Potterze.

Meissen, Miśnia była kolejną miejscowością nad Łabą. Na granitowej skale stoi zamek-katedra, symbol losów tego regionu. Saksonia była warownią ludów germańskich, ona opierała się Węgrom, Czechom i Słowianom Połabskim. Kiedy w dziesiątym wieku wyłoniła króla Henryka i jego syna Ottona, z bastionu obronnego, przekształciła się w forpocztę ruchu kolonizacyjnego i podboju wschodu zniewalając, asymilując lub tępiąc pogańskich Słowian na prawym brzegu Łaby. Układ papieża z cesarzem dał Niemcom szansę ekspansji militarnej i ekonomicznej pod wygodnym płaszczykiem niesienia wiary i cywilizacji. Wnet koloniści niemieccy zagospodarowali wielkie obszary dotąd słabo zorganizowane, względnie spustoszone przez najazdy tatarskie. To zamki pobudowane w Miśni, Magdeburgu i innych miejscowościach stały się bazami ekspansji wschodniej

stwarzając zagrożenie dla mieszkańców tych ziem, a w końcu dla racji bytu ich politycznych organizacji.

Dziś Meissen to ładne średniowieczne miasto, które wyszło z wojny bez szwanku, a znane jest powszechnie z fabryki porcelany, którą również zaliczyliśmy na naszej trasie. Przeniesiono ją z zamku, gdzie powstała, by łatwiej było utrzymać tajemnicę manufaktury.



Zofia Śmieja przy motorówce na Łabie, fot. arch. Z.i F. Śmiejów.

Dalej płynęliśmy przez równinę do miasta Torgau mijając

miejscowości przemysłowe. Powiedziano nam, że aczkolwiek 80% wody Łaby użytkowane jest przez przemysł, jest ona pięciokrotnie czyszczona zanim wraca do rzeki. Torgau to jedno z dobrze zachowanych dawnych niemieckich miast. W imponującym zamku chętnie rezydowali królowie Saksonii. W jego lochach nadal trzymane są niedźwiedzie. Luteranie zawiązali ligę w tym mieście, tam car Piotr Wielki spotkał się z Leibnitzem, a Napoleon miał kwaterę. Tam wreszcie amerykańskie wojsko nawiązało kontakt z oddziałami sowieckimi, lecz ku konsternacji Niemców zatrzymało się nie poszło dalej na niedaleki przecież Berlin.

Wpływając do Wittenbergi już z rzeki zobaczyliśmy kościół, do którego drzwi Luter przybił swoich 95 tez protestu. Zwiedziliśmy miejsca i pamiątki związane z reformatorem łącznie z jego i Melanchtona pomnikiem stojącym przed potężną budowlą ratusza. To ci dwaj ludzie ze spokojnego prowincjonalnego miasta zrobili głośny ośrodek protestu i religijnej rewolucji.

Nie zatrzymując się w Dessau i zostawiając za sobą jego słynny Bauhaus, który przetrwał wojenne bombardowania, dopłynęliśmy do największego na Łabie portu w Magdeburgu. Podziwialiśmy z odległości jego piękną sylwetkę, z której wyróżnia się wczesna, pierwsza gotycka katedra nad Łabą. Miasto od słowiańskich początków za Ottona I stało się ważnym emporium handlowym i ośrodkiem politycznym. Stamtąd prawo

magdeburskie, jako nowoczesne, poszło na wschód i na południe. Miasto uległo zniszczeniu w wojnie trzydziestoletniej i ucierpiało w ostatniej wojnie. Na rynku nadal jednak stoi statua Złotego Jeźdźca, a niedaleki kanał i bliskie wejście Czech do Unii Europejskiej zapowiadają lepszą przyszłość dla wodnej komunikacji śródlądowej, tak dla Magdeburga ważnej.

Końcowym przystankiem na Łabie było urocze średniowieczne miasteczko Tangermünde z przyjemnej, czerwonej cegły. Zbudował je w czternastym wieku Karol IV usiłując z rzeki Łaby zrobić wygodną arterię dla handlu Czech z Niemcami i dalszej ekspansji merkantylnej na Morze Północne. Dziś możemy podziwiać ciągle jeszcze jego zamek i potężne mury miasta.

Stanąwszy na brandenburskiej równinie znaleźliśmy się na piaskach, które stały się kolebką Prus, pojechali do Potsdamu, jeszcze jednej słowiańskiej osady, a potem stolicy starego Fryca, króla-rabusia, gdzie stoi jego ulubiony pałac, ale gdzie także na ironię podpisany został układ na mocy którego wiele mozolnie przez wieki zajmowanych ziem dostało się ponownie w słowiańskie ręce.